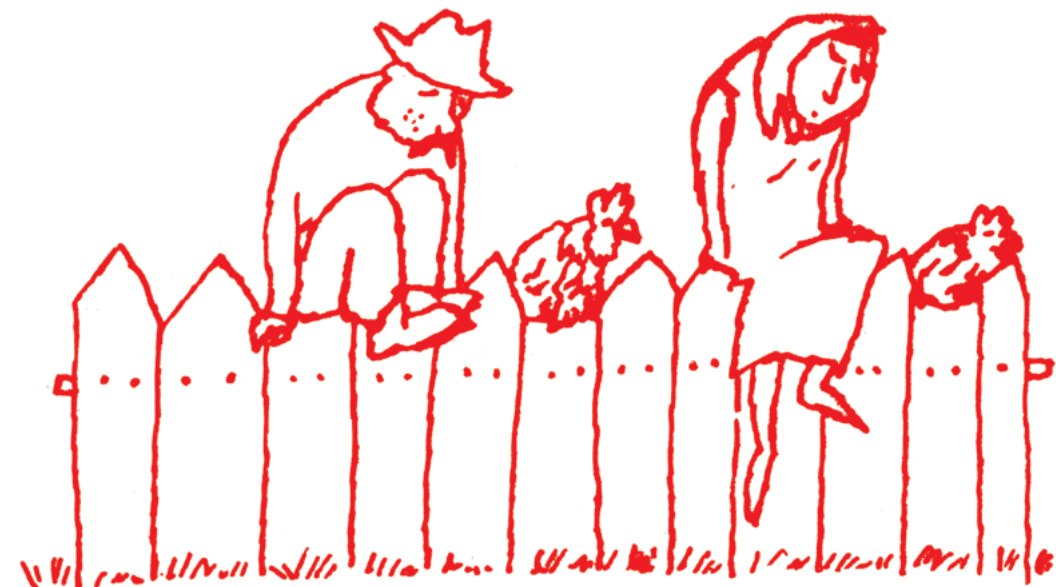


Rozdział I
w którym znajdujemy Jarzynkę
i gubimy spokój ducha

Była sobota dwudziestego szóstego sierpnia. Dlaczego ta data jest taka ważna, okaże się oczywiście dużo później, ale na razie dodamy tylko, że ta właśnie sobota była bardzo długa i nudna. Mimo to perspektywa wczesnego pójścia do łóżka nikomu się właściwie nie uśmiechała. No, ale co można robić innego w domku na skraju lasu po zapadnięciu zmroku? Oczywiście dorośli zawsze znajdują jakieś wyjście z sytuacji, ale co mają robić dzieci i na przykład kury? Kury są tu przykładem, bo przecież wszyscy dobrze wiedzą, że na wsi „chodzi się spać z kurami”. A to była wieś. Nazywała się bardzo zwyczajnie Aniołkowo, ale i tak wszyscy nazywali ją Wsią Wakacyjną: mama, tata i nawet gruba pani Śmietanowa, u której mieszkali. Oczywiście pani Śmietanowa też nazywała się inaczej, ale to już był jeden ze znakomitych pomysłów Asi. Bo pani Śmietanowa dostarczała wszystkim okolicznym urlopowiczom



NA WSI „CHODZI

znakomitą, tłustą śmietaną — szalenie ważny dodatek do poziomek i pierogów z serem.

I choć to nie był dzień „pierogowy”, ta właśnie sobota stała się bardzo ważnym dniem w życiu Marka, Asi, no i Pulpeta. Pulpet (choć z nie małym trudem) siedział na żerdce ogrodzenia oddzielającego kurnik od słończniko-



SIĘ SPAĆ Z KURAMI”

wej grządki i machając leniwie nogami, łuskał drobne ziarenka wprost ze sztywno rosnącej słończnikowej tarczy. Pani Śmietanowa bardzo się o to gniewała, bo prawie wszystkie słończniki miały wyjedzone najlepsze miejsca i brzydko świeciły łysinami, ale Pulpet był tak łakomy, że nie pomagały nawet tatusiowe groźby.

Siedział więc na tej żerdce, która niebezpiecznie trzeszczała, i zastanawiał się, co będzie robił jutro, bo niedziela na wakacjach niczym się przecież nie różni od pozostałych dni tygodnia.

— Jak myślisz — zapytał, wypluwając łuskę ziarenka — czy jutro też będzie na obiad gotowana kura?

— Na pewno — odparł Marek, drapiąc się zawzięcie w łydki okropnie pogryzione przez komary.

Marek bardzo nie lubił gotowanej kury, ale w tej wiosce zewsząd otoczonej lasem, odległej o trzydzieści kilometrów od najbliższego miasteczka, nic innego nie można było dostać. Ziewnął szeroko i spojrzął ponad wysokie konary sosen, czerwone od promieni zachodzącego słońca.

— Pobiegniemy jeszcze do Żabiego Króla?

— Możemy pójść — odparł Pulpet, złącząc z trudem z żerdki. — Na bieganie nie mam jakoś ochoty!

Należałoby może wyjaśnić, że Pulpet tak naprawdę nazywał się Darek, ale nikt już o tym nie pamiętał, nawet mamusia, której to imię kiedyś szalenie się podobało. Nic w tym zresztą dziwnego, że przezwisko „Pulpet” przy-

ignęło do chłopca z taką łatwością. Jak daleko pamięć sięga, Pulpet zawsze był tłusty i nie lubił się ruszać. Toteż Marek tylko westchnął ciężko i kiwnął głową.

— Zawołać Asię? — zapytał li tylko dla formy, bo wiadomo było, że do Żabiego Króla chodzi się zawsze we trójkę.

Asia skończyła właśnie rytuał wieczornego podlewania kwiatowych grządek i odstawiła pustą konewkę koło beczki z deszczówką.

— Idziemy! — powiedział Marek i pociągnął głośno nosem.

Z kuchni bowiem, przez otwarte okno, doleciał go zapach ciasta ze śliwkami.

— Nie wiesz — powiedziała Asia, otrzepując ręce — dzisiaj nic z tego! Śmietanowa nie da ani okruszyny!

— Właściwie dlaczego placek można jeść tylko w niedzielę? — denerwował się Pulpet. — Przecież to szalenie niesprawiedliwe!

Tak naprawdę to cała trójka zgadzała się z tym całkowicie. No, bo dlaczego pieczenie takich pyszności, jakimi są bez wątpienia placki ze śliwkami lub masą orzechową,

odbywa się zawsze w sobotę? A na dodatek je się je dopiero w niedzielę?

Dzieci wciągnęły jeszcze nosami zapach ciasta i pomatu podreptały gęsiego w stronę małego stawku otoczonego ze wszystkich stron ciemnozieloną ścianą lasu.

Stawek — czyli państwo Żabiego Króla — odkryli kiedyś przypadkiem w pierwszych dniach swego pobytu we Wsi Wakacyjnej. Bawiąc się w Indian, z piórami przepisowo zatkniętymi w potargane czupryny, rozpierzchli się po lesie, szukając Olka — Zielonej Strzały, ukrytego gdzieś wśród gęstwiny. Głośny wrzask i chlupot, który rozległ się nagle z lewej strony wielkiego dębu, wywabił z wigwamu nawet Pulpetę, który w tym dniu pełnił straż obozową. Okazało się, że to Bolek, sam Wielki Karaluch, wódz i znakomity indiański wojownik, wpadł nagle aż po szyję w sadzawkę zarosłą zieloną rzęsą. Kiedy, wyłowiony wspólnymi siłami, zrzucił przemoczoną odzież, z kieszeni na piersi wyskoczyła mu ogromna, zielona żaba.

Oczywiście, był to ów Żabi Król — władca stawu bez dna, król, którego państwo, choć niewielkie, bogate było

nadzwyczaj w żabich obywateli. Ba, król posiadał swój żabi chór, który wieczorami dawał nadzwyczajne koncerty.

A więc kiedy tak sobie maszerowali gęsiego, idący przodem Marek nagle raptownie przystanął. Oczywiście, Pulpet wpadł na niego z impetem i o mały włos go nie przewrócił.

— Co się stało? — zapytała Asia zamykająca pochód.

— Ciii... — zamruczał Marek, wyraźnie czegoś nadstuchując.

— Boooję się — wyjąkał Pulpet na wszelki wypadek. Pulpetowi zawsze się wydawało, że skoro już się boi — to właściwie ma jak gdyby cały problem z głowy, bo przecież nic się straszniejszego już stać nie może.

— Słyszycie? Ktoś tu płacze. — Marek wskazał ręką kępę fioletowo kwitnących krzaków. — Tam!

Teraz już cała trójka usłyszała jak gdyby ciche pochlipywanie.

— Może to duch? — zapytał Pulpet, cofając się.

— Duch nie chlipie, tylko dzwoni łańcuchami — odparła Asia z przekonaniem.